

Zdzisław Lipiński

Sygnatura notacji: N0894

Data urodzenia: 09.09.1922 r.

Data nagrania: 2005 r.

Miejsce nagrania: OBEN IPN, Kraków, Polska

Prowadząca/y rozmowę:

Czas nagrania: 65 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zdzisław Lipiński: Urodziłem się 9 września 1922 roku w Bydgoszczy. Tam do wojny chodziłem do Gimnazjum im. Kopernika. Tam skończyłem gimnazjum. W czasie, gdy byłem już do drugiej licealnej wybuchła wojna. I tę wojnę tam na miejscu przeżywałem. Najpierw tam, a potem dalej trochę. Jeśli chodzi o te przeżycia przedwojenne, nie zajmowałem się poza nauką wieloma innymi sprawami. Mogę tylko powiedzieć, że byłem zachwycony postawą niektórych kapłanów. I nie miałem problemu, żeby pójść tą czy inną drogą w moim życiu. Miałem w nich taki piękny wzór, dynamizm życiowy i duchowy, że nie musiałem w ogóle rozważać. To między innymi znajduje się w takich notatkach, jakie klerycy w Szczecinie spisali. Poprosili mnie o to, jak doszedłem do kapłaństwa. I to samo nastawienie miałem wówczas też, gdy wybuchła wojna. Jak wojna wybuchła, w polskich kościołach nie można było się modlić po polsku, w Bydgoszczy. W Guberni tak, tego nie wiedzą, nie znają. W Krakowskim też, a tam nie. Tam wolno tylko było przeczytać Ewangelię po niemiecku i żadnej pieśni polskiej. A nad konfesjonałami było podane „Hier wird nur Deutsch gebeistet”. „Tu się spowiada tylko po niemiecku”. I rzeczywiście Niemcy próbowali przez swoich folksdojców sprawdzić, czy się mówi po niemiecku. No i oczywiście rychło stwierdzili, że jest taki jeden z księży, który spowiada po polsku. Jest on już na liście błogosławionych, bo ksiądz Świadek się nazywał. Tutaj na tej...

Osoba pytająca: To później sobie pokażemy.

Zdzisław Lipiński: I on został pochwycony na tym polskim duszpasterstwie. Z miejsca wywieźli go do gestapo, a z gestapo potem do obozu koncentracyjnego i tam zginął. I jest wśród tych 108 błogosławionych. Tak że język polski był w czasie wojny niemożliwy. Czy myśmy skapitulowali? Nie. Od razu wykorzystaliśmy łacinę. Był taki ksiądz

Skonieczny w Trójcy Świętej, który oczywiście nic nie mógł o tym wiedzieć, ale wszystko wiedział i kierował, który zmobilizował tłumaczenie polskich pieśni religijnych na łacinę. Tośmy wydali w małych zeszytach i jak jest tam to zdjęcie ministranta, to przed nabożeństwami wchodzącym do kościoła dawaliśmy, rozdawaliśmy. Niektórzy potem wychodząc uważali, że to jest związane z kosztami. Jeśli nie uważali, tośmy się cieszyli, że kościół mógł śpiewać po łacinie polskie pieśni. Przy tej okazji odkryliśmy nawet i to ze wzruszeniem wszyscy śpiewali, że melodia naszej pieśni „Serdeczna Matko” jest taka sama jak „Boże, coś Polskę”. Więc przetłumaczyliśmy „Serdeczna Matko”, śpiewając to według „Serdeczna Matko”, a ludzie mieli w sercu „Boże, coś Polskę”. Ze wzruszeniem, że łzami to śpiewali. Więc w ten sposób staraliśmy się ratować ducha polskiego w tych właśnie czasach. I nie tylko, również prowadziliśmy nabożeństwa takie jak na przykład nieszpory. To trzeba było mieć zespół chórowy. Tośmy mieli w książeczkach nawet nieszpory po łacinie. To nie było już potrzeby tłumaczenia tego. I tośmy na chórze, chodziliśmy do góry na chór, żeby nas nikt nie widział. Tośmy z księdzem przy ołtarzu, oczywiście. Tośmy wtedy śpiewali. W ten sposób odbywały się te nabożeństwa. Ale po jakimś czasie Niemcy się zorientowali w kościele, co się dzieje, byli oczywiście ciekawi. Widząc, kto tam schodzi i wychodzi, schodzi i wychodzi, to po jakimś czasie się zorientowali, że to jest ten, a to jest tamten. Zasadniczo wszyscy Polacy stali się mniejszością, bo Polaków wywieźli w nocy, wyciągali z łóżka i wysyłali. Najpierw parę tygodni byli w szkołach, tułali się, znaczy nie tułali, byli zatrzymani. Nie wolno było wychodzić, byli zaarrestowani. Aż potem wywieźli ich do General Gouverneur, do Guberni Generalnej. Więc to także w krótkim czasie Polacy stali się mniejszością. Do tych ich mieszkań, gdzie jeszcze ciepłe pierzyny były, sprowadzali Baltendeutschen, Wolyniendeutschen, także z tego... Baltendeutschen to byli z Litwy, z Estonii, z Łotwy i tak dalej, Wolyniendeutschen to byli z Rumunii, z Ukrainy. Tak że łatwo nas było potem wyłowić, więc i tak się też stało, że w ten sposób byliśmy, powiedzmy sobie, „uziemienni” – jakby to powiedzieć. Jednocześnie to nie była tylko taka posługa zwykła kościelna, duszpasterska. W międzyczasie rychło się zorientowaliśmy, że wojna może długo potrwać i że czas ucieka, tak właśnie pan patrzy na zegarek, ucieka, nie ma rady, wieczność czeka, a my tracimy naszą młodość. Tak więc nie można tak siedzieć sobie tylko, bo trzeba było pracować, to jest jasne, i czekać na nieznane. Tym bardziej, że początki wojny były triumfalne dla Niemców. Więc to było bardzo przygnębiające. I trzeba było... I tam był taki jeden ksiądz, Wierzchowiecki się nazywał, który jakiś czas się uchował jako wikary przy bydgoskiej Farze. Potem musiał uciekać do Guberni i potem już go tam nie było więcej, więc on się uchował. To on pomyślał o naszych studiach. Żebyśmy czasu nie tracili. Było nas mniej więcej takich 10–12, kilku z nich już było przyjętych do Seminarium Duchownego w Gnieźnie przez błogosławionego później Michała Kozala. Ja byłem rok przed maturą, takich też było kilku, więc w sumie nas 12 było, którzyśmy postanowili zbierać, co było bardzo trudne, bo 12 chłopaków to od razu rzuciło się w oczy, trzeba było się godzinami schodzić, godzinami rozchodzić, nie zawsze w tym samym miejscu, niekiedy w lesie, niekiedy na cmentarzu, także to było dość utrudnione. I było dwóch księży, którzy się poświęcili na tę niebezpieczną pracę. Jeden to był ksiądz Dachtera, z zakonu chrystusowiec, później długoletni rektor Seminarium Duchownego Chrystusowców w Poznaniu, który zgodził się być tak zwanym ojcem duchownym. Ojciec duchowny to jest ten, który ma odpowiedzialność za formację duchową kleryków. A drugi to był naukowiec, ksiądz P... ale zaraz to mi przyjdzie do głowy. Infułat był w czasie wojny w Toruniu, po wojnie był infułatem w Gdańsku Oliwie. Jeszcze go nawet przed paru laty odwiedziłem. To ja może uzupełnię potem. I zaczęliśmy studia, sprowadziliśmy sobie z Ratyzbony podręczniki scholastyczne, po łacinie oczywiście, to był jedyny plus, który sprawiał, że mogliśmy bez cła żadnego sprowadzać sobie książki po łacinie. I mieliśmy wykłady, regularne wykłady, które on podjął. Ten ksiądz... Ksiądz... Przyjdzie mi. On sam był uczniem z Lowanium, późniejszego biskupa Kowalskiego. On miał dobrą formację, niezwykle uczony

człowiek i prowadził wykłady. Mam nawet jeszcze zeszyt gdzieś, ale tego dziś nie znajdę, notatek z tych właśnie jego wykładów. Polcyn... Tak, Polcyn się nazywał. Polcin, tak, Polcyn. Po polsku Polcyn było. O, to tak było. To już jest jego nazwisko. I w ten sposób zaczęliśmy pracę. On miał wykłady z filozofii, bo to było przede wszystkim. Od tego się zaczyna studium kapłańskie. Dwa lata filozofii, cztery teologii. Ponieważ byliśmy w większości początkujący, był jeszcze ksiądz Błażejowski, który był już po dwóch latach studiów. On też się z nami łączył, ale on już tego... odświeżał sobie, te wiadomości. I zbieraliśmy się, i on wykladał teorie poznania, pamiętam. Wykladał liturgikę. Potem myśmy sami... o, to jest na tej fotografii, uzupełniali sobie studium językowe. Tam akurat przerabialiśmy język grecki. Łaciny nie musieliśmy ćwiczyć, bo już dość opanowaliśmy w szkole przed wojną. I w ten sposób rozpoczęliśmy tę pracę. Aż oczywiście to już ci folksdojczycy nas obserwowali, obserwowali. Jedno z drugim połączyli, to są ci, co do kościoła chodzą i co się gdzieś schodzą. I jak księży już poaresztowali albo powystrzelowali, tak księdza Szarka, na ulicy szedł w komży, z komunią świętą do umierającego. Oni tak jak go widzieli, paf, na ulicy padł. Zostawili go tak. Tak że potem przyszła kolej na nas, na tych pomocników albo w rzeczywistości początkujących już w tym tajnym seminarium. To tak samo było z Karolem Wojtyłą. On też studiował w Krakowie u kardynała Sapiiehy, w tych tajnych kursach, mniej więcej coś podobnego jak to. Więc tak to było, że zostaliśmy aresztowani. Najpierw to było gestapo, więzienie okrutne. Więzienie okrutne, bo tam męczyli nas strasznie. Tak. Ja już za daleko zajechałem w tym moim opowiadaniu. Ale jeśli mogę dalej, tak?

Osoba pytająca: Oczywiście, tak.

Zdzisław Lipiński: To było, to się mieści jeszcze dziś przy Wałach Jagiellońskich, to więzienie, przebudowane z browaru przedwojennego, jeszcze sprzed I wojny światowej. A to o tyle ważne, że w browarze są gigantyczne piwnice. No i tam w piwnicy jest zawsze zimno. Więc kto przetrzymał parę dni i parę nocy, ten już mógł się szykować na drugi świat. Tam gestapowcy, tego nie domyślałem się, bo nie znałem takich słów jak na przykład sadyzm, jak masochizm. To ja dopiero na studium w teologii poznałem. Sobie nie wyobrażałem, takie rzeczy. Okazało się, dzisiaj dopiero sobie uświadamiam, znaczy post factum, że to byli straszni sadyści. Ci gestapowcy, którzy tam nas pilnowali jako zaaresztowanych. Prowadzili nas codziennie przez miasto z psami, z karabinami za Stadion Bydgoski. Tam jest po dzień dzisiejszy drugi wydział, bo ja wiem, śledczy czy nie-śledczy. Tam był, oni też mieli. I to było też przed wojną. No i były te przesłuchania, były one okrutne.

Osoba pytająca: Czy tutaj wystąpiło coś takiego, że szczególnie się znęcali, bo wiedzieli, że jakaś tutaj nauka powiązana jest ze sprawami duchowymi?

Zdzisław Lipiński: Okropnie. Więc przykład tylko powiem sadyzmu. W Norymberdze na procesie oni zapierali się: „Ja ręką żadnego więźnia nie dotknąłem”. Mówili prawdę. A w jaki sposób oni nie dotykali nas ręką? Był taki jeden... nazwisko, może Bolt się nazywa, ale nie dam głowy, czy to taki był. Okrutnik. Wywołał z celi jednego więźnia i mnie, drugiego. Ten jeden to był robotnik doker, z portu fordońskiego. Fordon to jest ujście Wisły. Brdy do Wisły. Otóż i mnie drugiego. Usiadł sobie wygodnie, założył nogę na nogę. Pamiętam jego buty aż po kolana. Nie wiem jak to się nazywają, takie oficerki. Świeciły się tak jak lustro, że mogłem siebie widzieć. No i jak się usadowił, a my na baczność przed nim. „Czy umiecie siadać?!”. „Oczywiście, że tak”. „No pokażcie, jak siadacie”. Z miejsca usiedliśmy

na ziemi. Zachichotał szyderczo po diabelsku. Już nie powiem jak się wyraził, co wy umiecie. Bo to był folksdojcz, ale po polsku mówił. „Ja was nauczę, jak trzeba siadać”. „Widzisz? Widzisz mój palec? Widzisz. To znaczy stoi. A tak, co znaczy? Siedzi”. „Stój. Siadaj”. Na „d” powiedział jeszcze. I teraz: „Zrobimy zaraz ćwiczenie”. Co znaczy? Stoimy na baczność. A tak? Siadamy. No! Zobaczymy, czy to wyjdzie”. I teraz zaczął sobie tą rączką przekręcać. Raz tak, raz tak. Raz tak, raz tak. Nagle zobaczył, że my siadając, opieramy się. Ach, zachichotał, „Jeszcze nie umiecie nic”. „Rączki przed siebie wyciągnięte”. „Rączki niezłamane”. Przed siebie. „Nóżki w kolanach prosto, nie zginane”. Więc co to było? To było bums, siadaj. Siłą rzeczy. Jak gdyby ktoś kamień na głowę i drugi kopniak z dołu. Dajmy na to. „No, to teraz zobaczymy, może się teraz nauczycie”. I zaczął. I coraz prędzej. I coraz prędzej... Straszny ból. Byliśmy już szaleni z tej prędkości rzucania się. To nie było siadanie. To było oczywiście rzucanie się. I nie zapomnę chyba do końca życia jego oczu. Diabelska radość. Diabelskie wyżywanie się. Jaką mu to radość sprawiało, że za każdym razem jak padaliśmy to był krzyk bólu. Tak, o. I coraz prędzej, i coraz prędzej. Aż do omdlenia. Tylko żeby zamknąć punkt poprzedni, mówili prawdę, że nikt z nich ręką więźnia nie dotknął. Prawda? A ja widziałem jego radość, jak on się wyżywał. Ja nie rozumiałem, dlaczego on się tak cieszy. Takich sytuacji było więcej. A jedna z najgorszych sytuacji to była Wielkanoc. 1943. Wielkanoc. Byliśmy w celi, było nas może dwudziestu. Prycze długie, wzdłuż długiej celi. Może cela jak ten pokój z tym korytarzykiem razem. Tu prycze wzdłuż. Tu wąskie tylko od ściany przejście, żeby dojść do tych prycz. Tu maleńkie okienko. Tak od... Takie maleńkie okienko, głębokie, bo mury grube, dlatego mówiłem o browarze. Zakratowane i jeszcze siatką zamknięte. Stamtąd przychodziło powietrze tylko. Dusiliśmy się. Bo nas było dwudziestu. Stamtąd, ale też dochodziły głosy dzwonów. Bo to blisko Fary, to jest te Wały Jagiellońskie, w samym Śródmieściu. I tam były głosy z Fary, z kościoła pojezuickiego. Dla Niemców to był kościół. I myśmy wówczas, no co robili, wsłuchiwali się w te dzwony. I wszyscy czekali, żebyśmy poprowadził modlitwę. Już prowadziłem normalnie modlitwy, wieczorne, poranne. Więc cóż, to było dla mnie troszeczkę trudne, bo niewyuczone. Starłem się jak gdyby domyślać, co w tej chwili może się w kościele dziać, żeby się duchowo złączyć z mszą, która się gdzieś w tych kościołach bydgoskich odprawiała. Wszyscy klęczeliśmy tak przy tych pryczach. I w pewnym momencie drzwi się otwierają i wpada gestapowiec. Przypuszczam, że ktoś tam musiał już dać mu znać. Coś takiego, ale to obojętnie. Oni niekiedy podsłuchiwali, jak nas było dwudziestu. No tośmy mówili „Ojcie Nasz”, to siłą rzeczy było słyhać. Ach, co się zaczęło. Przyszedł z takim drągkiem drewnianym, solidnym. Kazał nam stanąć wzdłuż tych prycz. I teraz normalna kara w tym areszcie były przysiady. Już duża kara była 100 przysiadów. Przysiady, gdzie trzeba było mieć ręce przed sobą, nie wolno było tak sobie robić. Głębokie przysiady oczywiście, bo od razu pałą szło w głowę. I liczyć. Biada, gdyby ktoś próbował przeskoczyć o 10 czy o 20. Od nowa, od zera. A on zaczął oczywiście po swojemu nas przezywać, to jasne. „Zachciało wam się święta, no to ja zrobię wam święto. Fünfhundert”. Pięćset. O przysiady chodziło oczywiście. To w oczach zamdlilo każdego. 500 przysiadów, kto zrobi... Padniemy wszyscy, to jest jasne. Los. On wlaź na te prycze, tu, na te prycze. Myśmy stali plecami do niego, wzdłuż tych prycz w tym małym przejściu. I zaczęło się. „Eins, zwei...” i tak dalej. A on z tyłu sobie przechodził i tym drągkiem, pums, jak klawisze na pianinie. Tak, o. Oczywiście rychło, nie wiem czy się domyślił, czy nie domyślił, chyba wiedział, że najwięcej klawiszował na mnie. Tak więc jak szedłem w górę, drągkiem w głowę. Jak szedłem w dół, kopniakiem w plecy. Jak się znudził, poszedł dalej. A ciągle szło liczenie, ciągle szło do liczenia. I tak było 500 razy. Opowiadałem to takim byłym wojskowym, którzy byli w takich oddziałach, tych bardzo wyszkolonych, komandos. Jeden był z takich komandosów. Wrócił już do domu, ja mu to opowiadałem. On opowiada: „To niemożliwe”. „Dlaczego niemożliwe?”. „Bo myśmy jako komandos sami z siebie robili zawody, kto najwięcej takich przysiadów zrobi”. I oni, młodzi ludzie, wyżywieni ludzie,

zdrowi, maksimum pamiętam było 123, a my 500. Można sobie wyobrazić, jak wyglądała nasza Wielkanoc 1943. Tośmy potem byli pół żywi, pół nieżywi, praktycznie wzięwszy, padliśmy wszyscy. I już długi czas nie byłem w stanie w ogóle jakichkolwiek modlitw prowadzić, ale potem poprowadziliśmy.

Osoba pytająca: Ja mam jeszcze pytanie. Wróćmy do księdza Józefa Kobzy, który wrócił z obozu, cudem wrócił. I on czy coś mówił, czy coś ksiądz wiedział o obozie już wcześniej?

Zdzisław Lipiński: O tak. W tym mieszkaniu właśnie. On był z Leszna, ja go potem po wojnie spotkałem też. Ale to już było w czasie wojny, oczywiście, że tak. On był w wieku tego księdza Wierchowickiego, kolegami byli, wrócił, opowiadał przede wszystkim: „Nie myślcie, że ten Dunaj jest taki niebieski, jak to się mówi.”, „Am blauen Donau.”, przy niebieskim Dunaju i te wszystkie piosenki. „Nie, on jest brzydki, on jest szary, on jest brudny”. Tak, Dunaj. A nad tym Dunajem ten właśnie obóz, do którego ja potem dotarłem, w którym się potem znalazłem. Opowiadał, jak tam głódzą, jak tam biją, jak tam... no, szczegóły opowiadał. Tak że my, którzyśmy studiowali, byliśmy świadomi, na co się narażamy. Myśmy nie wpadli do Mauthausen, ach, żebyśmy to wiedzieli, to byśmy zostawili wszystko i nie ruszali. Nie. Myśmy byli świadomi, na co się narażamy. Więc w obozie. To są tam takie trzy punkty, których zasadniczo mało kto porusza. I dlatego najpierw je opowiem ogólnie, a potem mogę jeszcze wrócić do szczegółów. Dobrze? Punkt pierwszy. Do obozu ci, co po wszystkich tam przejściach, już nie będę mówił, jak ich dotarli, byli oszołomieni, ogłupieni, półżywi, półmartwi, wycieńczeni, wygłodzeni, że każdy jeszcze ledwo żył. Co to znaczy? To znaczy, że w obozie nikt się nikim innym nie interesował. Tam nie było tak, jestem Lipiński, a jak pan żył, a co pan robił, a w domu dużo, czekają na pana... Absolutnie, absolutnie. Żadnych znajomości, żadnych rozmów. Chyba że tam gdzieś przypadkiem, coś takiego. Ale normalnie byliśmy jak ziarnko piasku na plaży. Wiatr dmuchnie w lewo, ziarneczko polecą w lewo. Się nie interesowało, przy jakim ziarneczku leżało przed chwilą, ani tamto się nie interesowało, gdzie poleciało to pierwsze. Nic. Kompletnie. Byliśmy takim ziarnkiem, każdy cieszył się, że jeszcze żył. To pierwsze.

Osoba pytająca: Ja już mam pytanie do tego.

Zdzisław Lipiński: No proszę.

Osoba pytająca: Bo przecież byli ludzie, którzy oddawali życie za drugiego, czyli jednak na tym drugim ziarnku im zależało. Przede wszystkim dużo księży-męczenników, którzy zdecydowali się na pomoc w tych ciężkich warunkach też.

Zdzisław Lipiński: Byli. Ale na setki tysięcy ludzi, tych kilku, kilkunastu, w końcu może i kilkudziesięciu, to było to zero. To było to zero. No. Oczywiście, jeżeli był jakiś, przypuśćmy, wybitny człowiek, pamiętam, był człowiek z ambasady praskiej, Czech. Czesi wiedzieli, że to był jakiś wiceminister, coś takiego. To jak mogli, chuchali, dmuchali, dzielili się nawet jednym kęskiem chleba. A jak tych kęsków chleba było, przypuśćmy, 20, to już była cała kromka chleba więcej i tak dalej. Albo podobnie, już w tym moim wypadku, jak ksiądz był, prawda, albo kleryk, jak ja byłem, to wtedy dużo oczywiście robili więźniowie, powiedzieli: o ten, ten, ten. Ale każdy się bał, w strachu, bał, bo wiadano, że wśród tych ziarek piasku są szpicle. Są zdrajcy, którzy donoszą. Za te donosy oni potem dostawali drugą miskę zupy. Więc to było bardzo intratne być donosicielem. Nawet baliśmy się mówić, kto kim jest, gdyśmy wiedzieli. A tych takich,

którzy się poświęcali dla nich, na to oni są już błogosławieni, bo to był heroizm, proszę pana. A ja mówię o nas, przeciętnych więźniach, przeciętnych „kaceterach”. Więc to się zgadza, to się zgadza. Przypuśćmy, że tam jeden był generał, to też dbali o niego. Zdarzało się, że kilku było z tej samej... bo to tam byli jeńcy z całej Polski, że było kilku z tej samej grupy podziemnej, czy zorganizowanej. To oni się niekiedy znali, ale też tylko z imienia się znali. Bo ci, którzy byli w AK i tak dalej, oni tylko znali jeden następnego, a tamten następnego. Oni się nie znali, ukrywano, kto kim jest. Bo wiadomo, na torturach... nie każdy mógł wytrzymać te tortury. Więc w sumie przeciętna szara masa, szara masa piasku na plaży. Dlaczego ja o tym mówię? Bo się dopytują i ciągle jeszcze... ale się nie dziwię, że się dopytują. Tylko żeby wyjaśnić, dlaczego się im nic nie może powiedzieć. „Czy ksiądz był w Mauthausen?” „Tak”. „A czy ksiądz widział tego, a tego” i pokazuje mi fotografię. A czy ja widziałem? Człowiek bez włosów, tam widać, jakie miałem włosy, zmaltretowany, tych 500 pał na głowie, starczyło. Więc to człowiek nie interesował się. Ubolewam bardzo, mówiłem, ale nie wiem. Może i spotkałem, nie wiem, ale nie znam. „Ale może ksiądz sobie przypomni”... Nie, to nie da rady. Więc stąd na te setki tysięcy więźniów tego rodzaju pytania, z ubolewaniem bardzo, ale są niestety chybione. O, to tyle może. Dlaczego? Bo na przykład mam książkę napisaną przez Francuza, który wykazując złodziejstwo czy przekupstwo w obozie, tam można było wszystko dostać, tylko trzeba było mieć albo pieniądze, albo papierosy. Jedno z dwóch. Otóż on przedstawia, że cały obóz, esesmani, więźniowie, wszyscy, byli złodziejami, byli oszustami. Otóż mój pogląd jest odmienny. Cały obóz esesmani i zarząd obozu, ci, którzy kierowali nami, to byli wszystko zwyrodnialcy. Oni się wyżywali, tak jak w tym areszcie w Bydgoszczy, tak samo się wyżywali na potęgę w obozie. I to też tak wyglądało, że... rzeczy dla mnie były kompletnie nie do pomyślenia, nie do odgadnięcia. Taki blokowy, kładzie się na łóżku i każe sobie mnie zawołać do niego. W biały dzień, oczywiście. No więc on tam coś mówi. Nie rozumiem, o co mu chodzi. Więc woła jakiegoś Franza, takiego starszego więźnia już, „Wyłumacz mu, co ma robić!”. Nie wiem, co mam robić. Naprawdę nie wiedziałem tego. Więc ten Franz mówi do mnie: „No rusz się przecież! Widzisz, na co on czeka”. „Nie, naprawdę nie wiem tego”. Więc ten zaczął się denerwować, ten blokowy. „Tutaj musisz słuchać!”. Mówię: „Ja chcę słuchać, tylko nie wiem, o co chodzi”. I rzeczywiście, nie tylko, że nie wiedziałem, o co mu chodziło, a nie wiem nawet, jak on się wypinał, musiał się chyba wypinać, żebym ja się domyślił, o co mu chodziło. Onanizm oczywiście. Że w końcu był tak zły, że zerwał się z tego łóżka, poszukał łańcuch, no i otrzymałem lanie łańcuchem. Już mnie więcej nie wołał. Na studiach teologii dopiero jest w Biblii Onanus taki i wyjaśnili nam, że od tego pochodzi onanizm. Przez cały czas, nawet potem, po tym łańcuchu, co mnie zbił, nie wiedziałem, o co mu chodziło. Nie domyślałem się. Więc to jest jeden z przykładów ich zboczenia. Takich przykładów byłoby więcej, ale to może na tym poprzestanę. Może jeszcze tylko wspomnę, tam widział pan jedno zdjęcie, jak nago stoimy w szeregu. Gdy wychodziliśmy przez bramę w obozie, to oczywiście Mützen ab, czapki trzeba było zdjąć, chociaż było 30 stopni minus, poniżej zera. Kapo meldował: „Komando takie a takie, do takiej a takiej roboty, tylu a tylu ludzi”. – „Ilu?”. – „No tylu a tylu ludzi”. 30 ludzi. „To ja, jak będziesz wracał, chcę usłyszeć 25”. „Tak jest, panie taki i owaki”. No i tak było. Jego życiem było to, żeby wracać z 25 więźniami, a nie więcej. Bo inaczej on z miejsca był zastrzelony. Musiał się postarać, żeby było 5 mniej. Otóż gdyśmy potem wrócili, to częste były kąpiele. Szczególnie w zimie. Kąpiele, to było w podziemiu, okna były szczelnie, tak jak schrony przeciwgazowe. Szczelnie były płyty żelazne, uszczelnione, pamiętam, przed wojną były ćwiczenia przeciwgazowe, to były takie schrony specjalne. Takie były też tam. Kompletnie puste. Tylko nad nami szły rury, rury, rury... Wszystko trzeba było zostawić na zewnątrz. Nago wpędzali nas w te piwnice. I teraz nie wiedzieliśmy, co będzie. Patrzymy, tam są rury, a wszystko już uszczelnione. Niektórzy zaczęli się domyślać. To będzie gaz. I teraz zależało od humoru tego, który był na zewnątrz

i który kręcił. Jak pokręcił w prawo, był gaz. Jak pokręcił w lewo, była woda. Miałem to szczęście, że była woda. Ale na zewnątrz było minus 30 stopni. A woda była parząca, tak że nie było się pod kogo albo pod coś schować. Każdy, byliśmy skuleni, bo to był war, który lał się na nas. I jak się to skończyło, to mycie, tak zwane mycie, kijami do góry, w szeregu. I tak jak staliśmy, na baczność wszyscy oczywiście, tak czekaliśmy. Pół godziny, trzy czwarte, zaczął się robić ruch, potem zaczęli padać. Jak ktoś padł, trzeba go było umieścić na końcu szeregu. Trzeba było doszlusować, jak to mówili, dołączyć. I potem tylko liczyli, ile padło. Gdy padli po jakimś czasie, przychodzili brancardier, to znaczy z noszami, ładowali tych, co padali i czekaliśmy dalej. I tak parę razy, aż z krematorium przyszedł znak, że już więcej nie mogą załadować do pieca. To niech idą na blok, bo już w tej chwili to nie zdążą wszystkich spalić. A palili tych, co padli. Oczywiście, że ci, co padli, to już byli nieżywi. Proszę sobie wyobrazić, tam był ukrop pod ziemią, a tu 30 stopni minus. Więc to nie trudno było pozbierać trupy. Więc tak wyglądało mniej więcej, w jaki sposób można było... aha, bo ja miałem mówić o tym punkcie drugim. Otóż właśnie, gdy było z kolei lato, bo jak zima, to każdy był tak skulony, że to nic nie szło, jak by powiedzieć, rozgrzać się w ogóle, gdziekolwiek na ciele. Jak było znowu lato, że był upał, na słońcu staliśmy rozgrzani, staliśmy tak godzinami, aż naraz słychać buć, te ich takie buciary, które słychać było na kilometr z daleka. Jak one tłukły o płyty, bo to wszystko było płyty, takie kamienne. Ale patrzymy, on nie idzie sam, ktoś jeszcze idzie. A my wszyscy na baczność, spaleni słońcem, patrzymy, idzie dziewczyna w sukni, a on rozbawiony. Na nago, rozpaleni... i teraz tylko czekał, żeby mieć zabawę. I tak sobie przeszpalerował raz i drugi. I miał swoją zabawę. Nikogo z nas nie tknął. Ale to nie tylko, jak myślą ludzie, było bicie czy męczenie, jak ja opowiadałem przedtem, tym drągiem, to było poniżenie godności człowieka. I tego żaden autor nie opisuje. Wszyscy byliśmy poniżeni w naszej ludzkiej godności. A to była ich uciecha, ich radość, ich sadyzm. Więc tyle może punkt drugi. Punkt trzeci. Często, gdy się ten temat porusza, to ja już mam dosyć tego gadania, a wtedy pocieszają mnie i mówią: „Bogu dzięki, że to już przeszło”. „Bogu dzięki, że to minęło”. „Że już teraz się skończyło”. „Że już można to tylko wspominać, że już tego więcej nie ma”. Nieprawda. Nie skończyło się. Wielka pomyłka. To wszystko, co ja opowiadam, to będę przez noce przeżywał. I w nocy człowiek nie odróżnia realności od snu. W nocy ja jestem znowu bity, kopany, miazdżony. W nocy to mnie wszystko znowu boli. W nocy serce mi bije jak młot. Jestem spocony, tak spocony, że cały mokry. Że gdy już tego snu wytrzymać nie mogę i się budzę, krzyczę. To był tylko sen... Ale dla mnie ten obóz koncentracyjny w nocy się nie skończył. I muszę się przebierać, bo jestem mokry cały. Muszę przebierać kołdry. To wszystko trwa, bo nie mam gospodyni, żebym zadzwonił na dzwonek i żeby przyszła mi pomóc. Tutaj siostry są. W takich sprawach nie mogę wołać. I jak ja to znowu się położę, to z kolei zasnąć nie mogę, bo to wszystko jest jeszcze żywe we mnie. I jak dopiero zasnę, to już jest rano. Tu mimo wszystko musi być porządek, muszę być na daną godzinę rano w kościele z mszą świętą i tak dalej. To jak ja rano zasnę, to jest znowu męka, żeby stanąć na nogi i rozpocząć dzień. Do tego stopnia. Ostatnie zdanie, że to nie jest tylko strach nocny. Bo gdy ja wieczorem kładę się, dziś będę się kładł wieczorem do łóżka, ja się boję łóżka. Ja się boję iść do łóżka, bo ja nie wiem, jaką dziś będę miał noc. Strach, żywy strach we mnie jest, gdy ja idę, co to dziś będzie. Stąd to się nie skończyło. Stąd taka niechęć więźniów do wspomnień obozowych. Spotyka się często, że on niechętnie to wspomina. Robiliśmy, co można. Więc na przykład te modlitwy, które mówiłem o Wielkanocy. To dużo ludzi, mimo wszystko, mimo całej udręki, krzepiło. Potem już taki miły, można wspomnieć, przepraszam, że to będzie o mnie teraz. Nasza podróż z Bydgoszczy do Mauthausen trwała dwa tygodnie. W takich więźniarkach, to tam byłoby dużo do opowiadania. Udręka straszna. W każdym razie było parę... bo pobyty, przerwy były w różnych więzieniach. Otóż wspominałem więzienie we Wrocławiu. Najgorsze było w Poznaniu, bo tam były same prycze, a pod pryczami grubo pluskiew czerwonych. Czerwone pluskwy, to było coś

ohydny. Nie było mowy o zabijaniu pluskiew. Tak grubo, wszystkie prycze. Najlepiej może było, też było ciężko, we Wrocławiu. Ale z tego wyszło potem coś dobrego. We Wrocławiu ulokowali nas w piwnicach. Ja leżałem na takiej pochyłej do okna. Okno pochyłe jak w strzelnicach, coś takiego, spadające na dół. Bo to jeszcze było gdzieś, gdzie można się było położyć. No i prowadziłem modlitwy. Śpiewaliśmy wszystkie nasze codzienne sprawy. Co umiałem na pamięć? Umiałem litanie do Matki Boskiej. Dużo rzeczy umiałem na pamięć, jeszcze sprzed wojny. Prowadziłem takie modlitwy. Więc po uwolnieniu, po skończeniu, cieszyliśmy się bardzo. I leży taki jeden biedak, jeszcze trochę żywy. Ja przechodziłem. On mnie zobaczył. Zawołał mnie: „Słuchaj, czy ty nie byłeś we Wrocławiu?”. Mówię: „Byłem”. „Dzięki”. „Dzięki”. „Dzięki tobie ja żyję. Bo jedynie te twoje modlitwy utrzymały mnie na duchu”. Ale to tak bardziej biblijnie powiedział. Było to takie przeżycie jak ten z Symeon. „Nunc dimittis servum tuum, Domine”, „Niech będzie Bóg błogosławiony”, że mogłem się doczekać tego momentu. Dajmy na to. Coś takiego było. To było bardzo piękne. To było bardzo piękne. Dla mnie wzruszające, bo ja o tym sto razy zapomniałem. A szedłem wówczas... I to jest też tak coś ciekawego i krzepiącego. Bo to było tuż po uwolnieniu. Znalazł się w moim obozie jakiś ksiądz. Normalnie, jak się wywiedzieli, te szpicle donieśli, zawsze donieśli, że w obozie jest ksiądz, każdego księdza wywozili do Dachau. Bo ksiądz był niebezpieczny, ksiądz podtrzymywał ludzi na duchu, więc rozsadał obóz. Więc dopiero jak się tam gdzieś uchował, z jakichś obozów pobocznych, i był ksiądz. Oczywiście wszyscy Polacy z miejsca, a ksiądz tam mszę świętą dziękczynną odprawi. Więc dobrze. Postarałem się, że znajomi Austriacy... albo jakiś znajomy ksiądz to był, już nie żyje. Czy przez kogoś, czy sam. Udał się do parafii w Mauthausen, to było oczywiście, ja wiem, może 4 kilometry odległość, na górę się trzeba było pójść i schodzić na dół, do proboszcza miejscowego z prośbą o hostię i wino mszalne. I on... Oczywiście ten ksiądz chętnie bardzo dał, nawet nie wiedział, że jest tam ksiądz obecny, bo było wiadome, że... bo ten ksiądz to był przedtem, ksiądz Jaroszka, tego wysłali do Dachau, tak że o nim wiedziałem. Ale tam był jeszcze inny ksiądz. Dał, no i teraz co? Wrócił z tym, no dobrze, ale gdzie i jak odprawi? A nas było tysiące, przecież trzeba ołtarz jakiś zbudować. To tam było łatwo. Polacy od razu tam... to było, może blok 20., nie dam głowy, w każdym razie każdy blok stanowił obóz w obozie, był zamknięty. I za tym blokiem był mur. Mówiono nam, że to jest Russenlager, obóz Rosjan. Tych, których pochwytili albo którzy uciekali z obozów jenieckich, jako karę dostali się do obozu koncentracyjnego, oczywiście. Russenlager tam był. Myśmy ich nie widzieli. Tylko tyle, że się wiedziało. Człowiek jak najmniej pytał. Bał się pytać o cokolwiek, bo od razu pomysłał, że ja szpicel. Więc kto, kim jest, to się nie pytało w ogóle. Niebezpieczne było. Tam na tle to był mur, wysoki, wysoki mur. Na tle tego muru Polacy rychło tam deski, nie trudno, bo się wzięło prycze różne. Prycz nie brakowało, więc to zrobili ołtarz. Prześcieradła tam oczywiście były. To nie trudno było, bo... o, to byłoby za dużo do opowiadania. Były, w obozie obóz, przypuścimy takich urzędników obozowych. To oni mieli łóżko nawet z prześcieradłami. Tak normalnie nie było żadnych prześcieradeł. Tak że z takiego obozu można było raz dwa dostać prześcieradła, więc był obrus na ten ołtarz. I teraz ten ksiądz mówi: „Jak ja tę mszę odprawię w tych pasiakach? Przecież to jakoś dziwnie, czy by nie mogli tam coś poszukać w tej effekten kammer?”. I następnego dnia przychodzi w sutannie. A ja jemu pomagałem, także byliśmy w kontakcie. Zdębiałem. „Skąd ksiądz ma tę sutannę?”. – „Nie wiem”. – „Jak to, nie wiem?”. „Szedłem pod tym murem i nagle spadła mi na głowę”. Z tamtej strony muru ktoś przerzucił sutannę. Pasowała na niego, na jego wzrost. Średniego wzrostu był i była sutanna. Coś tak niezwykłego, że on powiada, „no tego nie wytłumaczę”. Bo tam nie było możliwości, żeby ktoś wspiął się na wysokość muru. To był bardzo wysoki mur, trzy piętra może. A resztą tam byli sami Rosjanie. Oni tam nie mogli mieć żadnej sutanny. Ksiądz szczęśliwy, że miał sutannę. Więc już resztę łatwo, powiedzmy sobie, można było urządzić. Była wielka radość Polaków. Będzie msza święta. Pół obozu się zeszło

na tę mszę świętą. Oczywiście Polacy rej wodzili. Cieszyli się bardzo i inni też. A teraz coś mniej wesołego. Taki międzynarodowy sprawdzian. Oczywiście Polaków było najwięcej. Śpiewaliśmy, modliliśmy się po polsku. Ja prowadziłem oczywiście modlitwy, śpiewy. Byli też inni. Byli Czesi, byli Francuzi, byli Niemcy, też się modlili, każdy po swojemu, jak mógł. No i myśmy tam byli. To jest jeszcze inny rozdział, że trzeba nas było od nowa zamknąć, bo te wszystkie porcje, jakimi nas Amerykanie chcieli ratować, zabijały nas. Podawali nam swoje porcje wojskowe, śmiertelnie głodnych, od razu dyzenteria była, biegunka była i ludzie padali jak muchy. Więc musieli nas znowu zamknąć. Byliśmy znowu zamknięci. Tak więc ta msza była codziennie, jak byliśmy zamknięci. Dopiero potem dawali, stopniowo, kaszki, takie rzeczy lekkie, chleb, suchary, coś takiego, palili, przypiekali. Dopiero potem można było. Więc byliśmy codziennie w obozie, cóż innego można było zrobić, jak codziennie odprawić mszę świętą. I teraz, ponieważ ja tak troszeczkę pomagałem, byłem zorientowany, niektórzy powychodzili na dachy, tak było nas pełno. Było też dużo Francuzów, było i Polaków. To był modlitewnik, który przyniósł Egon i Jonas, jeden z tych dwunastu, którzy byliśmy w Bydgoszczy na tych tajnych studiach. On mi go dał, ja, jak mogłem, tak go chowałem. Udało mi się go uchronić. I z nim wróciłem potem do Francji.

Osoba pytająca: Czyli ten modlitewnik cały czas ksiądz miał przy sobie w obozie?

Zdzisław Lipiński: Tak. Miałem.

Osoba pytająca: Jak się udało księdzu przemycić na teren obozu?

Zdzisław Lipiński: A udało.

Osoba pytająca: A w jaki sposób?

Zdzisław Lipiński: W jaki sposób... Jak była ta kąpiel, to ja rękę tak trzymałem i jego tu w garści miałem, w ten sposób, tak o.